Cena 40 gr. **PO KONFISKACIE NAKŁAD DRUGI** Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

T Y G O D N I K

7 Luty 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 9 (8)

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

TREŚĆ NUMERU:

Jedną z przyczyn, wskutek których ciała społeczne i zgromadzenia mogą popełniać tylko same głupstwa, jest ta, że najlepsze argumenty za sprawą lub przeciw sprawie, za osobą lub przeciw osobie, o które idzie, niemal nigdy nie dają się wypowiedzieć publicznie bez wielkiego niebezpieczeństwa lub wielkich nieprzyjemności.

Chamfort: „Maksymy i myśli" str. 71.

N. NIENASKI.

Niewyzyskana sposobność

Zrekonstruowanie przebiegu sprawy Gdańska przed i na ostatniej sesji Rady Ligi nie jest rzeczą łatwą. Dość dokładnie znamy tylko rezultaty. Natomiast przebieg rokowań i rozmów, które do rezultatów tych doprowadziły, znany jest tylko bardzo urywkowo, niedokładnie a niejednokrotnie nawet był zaciemniany jakby rozmyślnie i celowo. A niemniej jest bardzo interesujący i do oceny rezultatów konieczny. Musimy tedy spróbować zrekonstruować wypadki i odtworzyć tę dziwną historję.

*

Od znanego incydentu z krążownikiem „Leipzig" sprawa Gdańska stała się źródłem poważnych kłopotów dla oficjalnego kierownictwa naszej polityki zagranicznej. Bo od tego czasu wypadki zaczęły iść w Gdańsku szybkiem tempem, coraz wyraźniej zdradzając, do czego to wszystko zmierza. Ujawniły się zakusy niemieckie na Gdańsk tak wyraźnie, że już nie sposób było ukryć ich przed społeczeństwem polskiem. Fala zaniepokojenia i troski ogarnęła całą Polskę. Sprawa Gdańska wybiła się na czoło zagadnień politycznych. Dyplomacja polska stanęła przed egzaminem, który złożyć miała nie tylko ze swych zdolności i umiejętności fachowych, ale przedewszystkiem z całego kierunku, jaki polityce zagranicznej nadał p. min. Beck od chwili objęcia jej kierownictwa. Było to jasnem, że jeśli okaże się, że Gdańsk staje się łupem Niemiec, że hasło „zurück zum Reich" zostaje praktycznie urzeczywistnione, to cała polityka porozumienia polsko - niemieckiego zawali się, jak domek z kart i pozostanie z niej tylko ein Fetzen Papier.

W tej ciężkiej sytuacji, jaka się wytworzyła wobec ofensywy niemieckiej na Gdańsk, dyplomacja polska poszła odrazu po linji najmniejszego oporu, po linji ratowania pozorów. Niejednokrotnie i bardzo wyraźnie proponowano Niemcom porozumienie na tej zasadzie, że Polska pozostawi w Gdańsku zupełnie wolną rękę hitlerowskiemu sąsiadowi, że pozwoli mu opanować zupełnie i bez reszty cały aparat państwowy Wolnego Miasta, zniszczyć w nim wszelkie opory i wytępić wszystko, co nie jest hitlerowskie, w zamian za poszanowanie pozorów niezależności Wolnego Miasta, formalne utrzymanie statutu i zagwarantowanie polskich interesów gospodarczych, które zresztą są także interesami Gdańska.

Nie będziemy na razie oceniać tej polityki. Stwierdzimy natomiast, że przez czas dłuższy nie wydawało się wcale rzeczą pewną, a nawet prawdopodobną, że nawet takie załatwienie sprawy, w gruncie rzeczy uwzględniające najważniejsze interesy niemieckie, zadowoli Trzecią Rzeszę i skłoni ją do wyrzeczenia się doraźnego sukcesu, jakim byłaby reinkorporacja Gdańska. W Gdańsku o powrocie do Rzeszy mówiło się głośno i ustalało terminy.

*

Nagle jakby powiał inny wiatr. Zaczęło się to od powrotu prez. Greisera, który czas dłuższy świecił nieobecnością i o którym szeptano w Gdańsku, że nie wróci na swe stanowisko, bo jest zbyt ugodowy wobec Polski i nie zadowala już Gauleitera Forstera. Bo fotel prezydenta ma to do siebie, że kto na nim się zasiedzi i ogarnie wzrokiem całokształt interesów gdańskich, ten zaczyna myśleć innemi kategorjami i rozumieć głębokie i nierozerwalne związki, jakie zachodzą pomiędzy Wolnem Miastem i Polską. Tak stało się poprzednio z Rauschningiem, tak zaczął ewoluować Greiser. Po powrocie Greisera rokowania, dotychczas stojące na martwym punkcie, potoczyły się sprawnie i gładko. Gdańsk przyjął punkt widzenia, podsunięty mu przez dyplomację polską. Zgodził się zachować pozory. Wzamian za to skrupulatnie zainkasował zgodę na zupełną niezależność Senatu w sprawach wewnętrznych, co wyraziło się w ograniczeniu kompetencji Wysokiego Komisarza i ustaleniu jego „źródeł informacji", tak skrupulatnie określonych w raporcie p. min. Becka.

Dobito targu i p. min .Beck udał się do Genewy z raportem w kieszeni, zadowolony z dokonanego dzieła i pewny wdzięczności Ligi za osiągnięty sukces. Wszak z entuzjazmem witano go w Genewie, gdy — o ileż mniej — przywiózł w raporcie wiadomość o załatwieniu incydentu z krążownikiem „Leipzig"!

Po drodze upewnił się w Berlinie, że ugoda gdańska może liczyć na przychylne przyjęcie na Wilhelmstrasse. Zapewne tem bardziej przekonywano go tam o ofiarach, poniesionych dla — przyjaźni z Polską, im bardziej cieszono się — i nie bez racji — z pomyślnego dla Niemiec rozwiązania ciężkiej sprawy. I z pewnością nie odmówiono aprobaty.

A w Genewie nastąpiła niespodzianka. Raport p. min. Becka, mandatarjusza Ligi, zamiast oczekiwanego entuzjazmu, spotkał się z krytyką i niezadowoleniem i komitetu trzech i Rady. Szczególnie min. Eden, referent spraw gdańskich, nie taił zdania, że raport ten interesów Ligi nie uwzględnia i ich nie zaspokaja. Wtórował mu min. Delbos. Zaczęły się kilkodniowe targi i narady. W rezultacie zaś obok raportu min. Becka Rada przyjęła raport min. Edena, w wielu punktach nie pokrywający się z raportem min. Becka i przywracający w paru punktach kompetencje Wysokiego Komisarza.

*

Cóż się więc stało? Dlaczego nagle inny wiatr powiał w Gdańsku, działającym według wskazówek Berlina? Dlaczego nagle wyprostowały się kartki w Genewie, dlaczego Liga Narodów, ta sama Liga, która wraz z min. Beckiem, przyjacielem Gdańska, tak niedawno musiała schować do kieszeni awantury prez. Greisera, która rozpływała się w podziękowaniach za, jakżeż skromne i mizerne, zadośćuczynienie za afront oficerów niemieckich z krążownika „Leipzig", nagle krytycznie odniosła się do raportu polskiego, przynoszącego jej jednak znacznie więcej?

Sądzimy, że zmiany tej nie wyjaśniają ani... intrygi p. Rajchmana, ani nawet naciski lewicy parlamentarnej w Anglji i Francji. Poprostu zmieniła się sytuacja. Nie możemy tu wchodzić w szczegóły. Z kilku powodów, wśród których najważniejszemi są przywrócenie angielsko - francuskiej Entente Cordiale i uzyskanie dla niej życzliwego poparcia Stanów Zjednoczonych, zmieniło się wiele w atmosferze międzynarodowej, w tem, co tak chętnie zwie się obecnie politycznym klimatem. Zmieniło się wcale gruntownie. Miejsce trwożnego wyczekiwania, jakie będą nowe fakty dokonane i w kogo uderzą, i w Paryżu i w Londynie zajęła determinacja, chęć przyparcia raz Niemiec do muru i uzyskania jasnej odpowiedzi na najbardziej zasadnicze pytanie: pokój czy wojna? Zupełnie jasnem stało się to w sprawie marokańskiej. Ba! Po perypetjach tej sprawy trudno oprzeć się wrażeniu, że nie brakło nawet i tu i tam czynników, które pragnęły wyzyskać lada okazję dla doprowadzenia do wyjaśnienia sytuacji. Sprawa Maroka odegrała podobną rolę, jak w swoim czasie desant na Westerplatte w stosunkach polsko - niemiec-

kich. Była zapytaniem pod adresem Niemiec. I znów odpowiedź niemiecka przyszła: pokój.

Bo w Berlinie zorjentowano się bardzo szybko w zmianie nastrojów. A że sytuację ocenia się tam bardzo realistycznie i najlepiej zna się i własne braki i niekorzystny układ stosunków międzynarodowych, przeto przed widmem wojny, którą szantażowano Europę, jak długo można to było czynić bezkarnie, pierwsze cofnęły się Niemcy, gdy zrozumiały, że groźby mogłyby być wzięte na serjo. Szybkie cofnięcie się w sprawie Maroka i ugodowość w całej sprawie hiszpańskiej jest tego dowodem. I wcześniej, niż, ratując pozory dobrowolnej i wielkodusznej decyzji, zapowiedział to uroczyście kanclerz w Reichstagu, wycofano się faktycznie z polityki zaskoczeń i faktów dokonanych. Postanowiono, nie rezygnując zresztą z niczego, wnieść odprężenie w sytuację międzynarodową. Z tej decyzji urodziła się ostatnia mowa kanclerza Hitlera.

Dla sprawy gdańskiej zwrot ten był oczywiście decydujący. Gdańsk, bardziej nawet niż Maroko, mógł stać się okazją do próby nerwów i sił. Z stworzenia tam faktu dokonanego wypadło przeto na razie zrezygnować i wycofać się z zatargu z Ligą. Takie też poszły do Gdańska instrukcje. Nie przyjaźń z Polską, ale determinacja francusko-angielska odegrały tu decydującą rolę. Boć ta przyjaźń nie była mniejsza parę miesięcy temu i p. min. Beck tak samo kierował polityką polską. A jednak nad Gdańskiem zbierały się chmury i p. Greiser pokazywał język w Genewie.

Nie zorjentowano się natomiast w zmianie sytuacji w Warszawie. Nie mogła nasza dyplomacja pochwalić się ani dobremi informacjami ze stolic europejskich, ani zdolnością przewidywania i darem szybkiej orjentacji. Zmianę stanowiska Gdańska wytłómaczono sobie skromnie wagą przyjaźni polskiej dla Niemiec i zręcznością politycznego kierownictwa. Zapomniano, że wprawdzie Polska przez swe położenie geograficzne bardziej niż ciężar gatunkowy, odgrywa w polityce europejskiej doniosłą rolę, że jednak rola ta nie powstrzymała Niemiec od ataku na Gdańsk, jak długo chaos na zachodzie atakowi takiemu sprzyjał. Przyjaźń polsko - niemiecka i polityka p. Becka zaczęły ważyć na szali dopiero wówczas, gdy zdecydowane stanowisko Francji i Anglji pozwoliły Niemcom zrozumieć, że dalej już tymczasem polityki faktów dokonanych nie można uprawiać.

Zamiast tedy chwycić w lot okazję do załatwienia sprawy gdańskiej gruntownie i uzyskać od Wolnego Miasta ustępstwa istotne i realne, dyplomacja polska z zadowoleniem uzgadniała z Senatem dawny projekt. Projekt który może parę miesięcy temu, w ówczesnej sytuacji, byłby pewnym sukcesem i Polski i Ligi. Ale wówczas nie chciały o nim słyszeć Niemcy. P. Greiser „chorował" i p. Papée nie miał z kim rozmawiać. W zmienionej sytuacji projekt polski był już tylko sukcesem — Niemiec. Pozwalał im wycofać się z sytuacji bez poważniejszych strat, ba! z maximum korzyści, jakie w danych warunkach można było osiągnąć. Nic dziwnego, że w Genewie raport p. Becka nie wywołał entuzjazmu.

*

Jeszcze w Genewie był czas wycofać się z niefortunnej w zmienionych warunkach ugody i przyłączywszy się do stanowiska komitetu trzech zmusić Gdańsk do ustępstw znacznie poważniejszych, niż osiągnięte w rokowaniach bezpośrednich. Tego jednak p. min. Beck nie uczynił. Czy to dlatego, że do końca nie zorjentował się w zmianie sytuacji lub nie dowierzał energji Anglji i Francji i wolał nie ryzykować osiągniętej „współpracy" z Gdańskiem, czy dlatego, że z uporem chciał bronić swego raportu, czy wreszcie — i to wydaje nam się najprawdopodobniejsze — dlatego, że w myśl zasad swej polityki szukał równowagi między Paryżem i Berlinem i chciał dać temu ostatniemu ekspiację za zbytnio frankofilskie wystąpienia z niedawnego okresu „pożyczkowego" — dość, że zamiast poprzeć energiczne żądania komitetu trzech i referenta Edena w imieniu najbardziej zainteresowanej Polski, podjął się roli medjatora pomiędzy Gdańskiem a Ligą, broniąc koncepcji, która stanowi podstawę jego raportu, koncepcji wyłączenia Wysokiego Komisarza Ligi od interwencji w sprawy wewnętrzne Gdańska.

I tu zaczęła się istna maskarada karnawałowa. Wbrew wszelkiej logice rzeczy komitet trzech znalazł się wobec Gdańska i Polski, solidarnych w tendencji ograniczenia wpływów Ligi w Gdańsku i broniących zasady bezpośredniego załatwiania wszelkich spraw w tercecie Gdańsk, Polska i Niemcy. Ten wspólny front odniósł sukces nielada. Zmusił Ligę do kompromisu, którego wyrazem jest raport min. Edena. Zamiast wyraźnej porażki Niemiec sprawa zakończyła się w sposób, który w danych warunkach jest dla Berlina sukcesem. Pokwitował też zaraz usługi dyplomacji polskiej kanclerz Hitler, umieszczając w swej mowie Polskę na pierwszem miejscu wśród przyjaciół Niemiec. Pokwitował z skwapliwością nieco podejrzaną, bo obliczoną na dalsze sianie nieufności między Polską i Francją, że aż p. min. Beck uznał za konieczne w wywiadzie w „Völkischer Beobachter" przypom-

nieć Niemcom, że sojusz polsko - francuski jednak istnieje i działa.

*

Nie znajdujemy usprawiedliwienia ani dla braku orjentacji przed Genewą ani dla karnawałowej maskarady genewskiej. Ale chcielibyśmy znaleźć okoliczności łagodzące. Jedno tylko z państwowego punktu widzenia mogłoby taką okoliczność łagodzącą stanowić: gdyby za tę cenę uzyskano specjalne gwarancje dla praw i interesów polskich w Wolnem Mieście. Sądzimy wprawdzie, że takie gwarancje Senatu czy nawet Niemiec nie wiele są warte. Ale zawsze byłaby to okoliczność łagodząca.

Po tej linji szedł także i p. min. Beck. Świadczy o tem wymiana oświadczeń pomiędzy Senatem i rządem polskim, dokonana poza Ligą Narodów i bez jej udziału. Niestety, oświadczenia te nie dają żadnych gwarancyj realnych. Senat obowiązuje się raz jeszcze do „uszanowania traktatowych i umownych praw Polski" a w szczególności „nienaruszania praw polskich w ustawodawstwie gdańskiem, jako też w stosowaniu tego ustawodawstwa przez gdańskie władze administracyjne i gdańskie sądy". Takie zobowiązanie może mieć wartość w stosunkach z kontrahentem lojalnym i szanującym swe słowo. Czy za takiego kontrahenta można uważać Gdańsk, dający stale dowody łamania umów, statutu i konstytucji?

Daremnie natomiast szukaliśmy jakichś gwarancyj realnych, których uzyskanie mogłoby złagodzić efekt wydania Gdańska na łup samowoli narodowosocjalistycznej. Opiekę i wpływ Ligi Narodów ma zastąpić tylko — dobra wola Gdańska wobec Polski. Bardzo to słaba i niepewna gwarancja.

*

Bilans całej sprawy? Z punktu widzenia interesów Ligi Narodów jest to właściwie partie remise. Podkreślił to wyraźnie i kilkakrotnie min. Eden. Wartość kompromisu ma się dopiero okazać w praktyce. Ma ją stwierdzić nowy komisarz Ligi w swym pierwszym raporcie. Gdańsk wychodzi z sukcesem w postaci zmniejszonych uprawnień Wysokiego Komisarza Ligi i wolnej ręki w sprawach wewnętrznych. Jest to zarazem sukcesem Niemiec, które uniknęły nadto nieuniknionej, zdawało się, a bardzo niemiłej porażki.

A Polska? Polska może wpisać nową pozycję w przydługiej liście niewyzyskanych sposobności.

I cóż zależy na tem, czy na tronie siedzi Tyberjusz czy Tytus, jeśli Sejanów ma za ministrów?

Chamfort: „Maksymy i myśli" str. 66.

Kronika zagraniczna

JESZCZE O KSIĄŻCE p. SEBY.

Jak było do przewidzenia niefortunny występ czechosłowackiego posła w Bukareszcie i jeszcze mniej fortunne podżyrowanie go przez ministra spraw zagranicznych Kroftę, rozpętało burzę przeciw czechosłowackiej polityce zagranicznej. Przyszła bo ta książka w obecnym momencie jakby na zamówienie — z Niemiec, siejąc podejrzliwość i niezgodę pomiędzy temi państwami, które właśnie obecnie powinny zdobyć się na szczerą współpracę. Nie trzeba dodawać, jak bardzo to jest woda na młyn polskich czechofobów. O ile wiemy i w Czechosłowacji zdania co do tej elukubracji z nieprawdziwego zdarzenia są co najmniej podzielone. Ludowcy, centrum i prawica potępiają ją wyraźnie, a lewica broni jakoś też bez przekonania. Ale nie nastąpiło wyraźne i męskie odcięcie się od tez politycznych p. posła z Bukaresztu, a to nie dobrze. Po takim występie należałoby wycofać i książkę i jej autora. A już co najmniej oficjalna polityka czechosłowacka powinna odciąć się stanowczo od poglądów p. Seby. Bo jakżeż inaczej myśleć poważnie o wyrównaniu różnic i zbliżeniu z Polską. Chyba nikt w Czechosłowacji nie łudzi się, aby zbliżenie było możliwe na zasadzie programu p. Seby. A więc czekamy...

SUAVITER IN MODO, FORTITER IN RE.

Tę dewizę przyjął kanclerz Rzeszy za wytyczną swej ostatniej mowy w Reichstagu o polityce zagranicznej. Ton był miększy niż dotychczas, w zagadnieniach drugorzędnych pewna ustępliwość, zapowiedź zmiany dotychczasowej metody stwarzania faktów dokonanych wprowadziła pewne odprężenie, ale w zasadniczych sprawach Niemcy pozostały przy swoich poglądach ,jakże odległych od zapatrywań demokratycznych państw zachodnich. Wynika z tego jasno, że nie jest obecnie zamiarem Niemiec stawiać sprawy na ostrzu noża i doprowadzić do wyraźnych konfliktów, ale nie myślą też z niczego zrezygnować. widocznie łudzą się, że czas pracuje dla nich. A przedewszystkiem mają nadzieję, że metoda łagodna wprowadzi rozdźwięk pomiędzy Anglją i Francją, których ścisłe współdziałanie stwarza dla nich warunki bardzo niekorzystne. Zanosi się więc na próbę nerwów. W nowej polityce niemieckiej (nowej co do metod, ale nie co do zasad i celów) czuć też doświadczoną rękę rzymskiego reżysera. Pod jego wpływem zmaleje napięcie, ale walka, mimo braku bardziej dramatycznych momentów, nie straci na intensywności. Mimo wyraźnego odprężenia do prawdziwego porozumienia jest jeszcze bardzo a bardzo daleko.

Raptularz tygodniowy

(ZAMÓWIONE JEREMJADY — NIEZAWODNE SUROWCE — CICHE FERMENTY — KLASYCZNY ARGUMENT: RZEMIOSŁO — DYSKUSJA O DYKTATURZE).

Pisma rządowe biadają nad rozbiciem społeczeństwa a raczej nad tem, co im rozbiciem społeczeństwa nazywać przychodzi. Od „Dziennika Poznańskiego”, dziennika zawodowo zajmującego się obecnie przedrzeźnianiem zasad, dla których ongiś go do życia powołano, do „Jutra Pracy”, stanowiącego coś pośredniego pomiędzy urzędówką a zbiorem pamfletów, głosi się przerażające wieści o atomizowaniu społeczeństwa i powstawaniu przeróżnych konspiracyj, klubów i grup. Tak właśnie wygląda od wewnątrz sanacji, od zewnątrz wygląda całkiem inaczej, tylko owi urzędowi jeremjasze nie potrafią i nie odważają się dojrzeć prostych dróg i prostych nastrojów. Ta publicystyka, obliczona na dezorjentację, na sztuczne panikarstwo przypomina anegdotę o przesadnie ostrożnym ojcu, który nie wiedział, co wpisać w metrykę swemu nowourodzonemu dziecięciu: czy datę o rok wcześniejszą, czy datę o rok późniejszą. Nie przyszło mu tylko do głowy, aby wpisać datę właściwą. Ta cała anormalna publicystyka wpisuje swym czytelnikom niewłaściwą i nie chce wiedzieć, że trzeba wpisać datę właściwą. A to przykre uczucie, które wzmaga się w zaufanem kole, że nie chodzi już więcej o — podział spadku? Bo przed podziałem spadek został zjedzony. W każdym razie dziwnie jakoś tak wygląda...

*

Ile razy coś w polityce zagranicznej (nawet według wyobrażeń samodzierżawców) nie poszło tak, jak powinno, pojawiają się niewyraźne próby odwrócenia uwagi i skierowania dyskusji na inny temat. Nasza inspirowana publicystyka nie stoi na zbyt wysokim poziomie (przyczem bynajmniej jej tego za złe nie bierzemy), dlatego próby wypadają blado, ale zawsze gdzieniegdzie przeświecają. I tak wraz z wiadomościami o suggestywnym kompromisie, który został w Genewie „osiągnięty”, Polska Informacja Polityczna i jeszcze kilkanaście innych urzędowych ajencyj poczęstowała nas wywodami, jak dobrze stanęła w Genewie sprawa — surowców, czyli ich sprawiedliwszego podziału. Wyliczono, ile nam ich potrzeba, ile powinniśmy mieć stosownie na głowę ludności, podatków, zadłużenia zagranicznego i t. d. Jeśli to ma być metoda — to była już dość dawno znaną i stosowaną ze zmiennem powodzeniem. Mógłby coś o tem — powiedzieć słynny pan Rafałowicz, delegat rządu rosyjskiego do spraw prasowych w Paryżu, a choćby sam Izwolsky. W Austro-Węgrzech zaś w obu parlamentach wiedeńskim i budapeszteńskim w takich wypadkach niezmiennie pojawiała się roznamiętniająca agrarjuszy i ich przeciwników słynna kwestja kolczykowania świń. Doszło do tego, że słynni publicyści angielscy, jak Scotus Viator a nawet Steed, gdy tylko w swych klubach w Londynie przeczytali, że nad Dunajem mówi się o kolczykowaniu świń, w tej chwili wsiadali do Orient-expressu, bo wiedzieli, że się coś święci. Teraz, gdy tylko pałac, zwany ongiś Brühlowskim, zaczyna robić postępy w polityce kolonizacyjnej, — caveant consules...

*

Prezydjum Związku Młodzieży Wiejskiej ogłosiło komunikat, zastrzegający się przeciw jakiejś grupie, która niepowołana zaczyna wydawać czasopismo: „Chłopskie życie polityczne”. Z deklaracji wynika jasno, że wewnątrz Związku Młodzieży Wiejskiej działają jakieś wpływy obliczone na sparaliżowanie działalności „Wiciarzy”. Zjazd delegatów gmin wiejskich województwa warszawskiego uchwalił votum nieufności prezesowi Związku gmin wiejskich, którym jest b. poseł, jeden z najradykalniejszych w doborze środków działania sanatorów p. Polakiewicz. Nawet według sprostowania pana Polakiewicza, na 51 obecnych delegatów tylko 12 wypowiedziało się przeciw wnioskowi o votum nieufności, przyczem prezes związku gmin wiejskich pociesza się zaiste słabym argumentem, że zjazd delegatów nie miał „prawa” takiego wniosku uchwalać. Bo przecież gdyby nawet nie miał „prawa”, ujął tylko w pewną formę treść swych poglądów na działalność prezesa Związku. Na uboczu jednak podnieść należy, że wciąż się zmagają niektórzy sanatorzy ortodoksyjni z jeszcze ortodoksyjniejszymi, którym się zdaje, że na ścianach wszelkich związków straszy cień pł. Sławka. I są dzienniki, które podtrzymują wersję o dokonanej rzekomo dymisji pana viceministra spraw wewnętrznych... Czy nie była to wiadomość może sprawdzona ale przedwczesna?

*

Minister przemysłu i handlu, przemawiając na komisji budżetowej o swoim resorcie, utrzymał się na poziomie lepszym od większości swych kolegów. Oczywiście stawia on dopiero pierwsze kroki i z czasem zaledwie mógłby się nauczyć chodzić. Według relacji „Wieczoru” z dnia 28.I.: „P. minister wyznał otwarcie, że dotychczas nie zdobyliśmy się na stworzenie programu dla rzemiosła, czyli nie stworzyliśmy ram, w których rzemiosło mogłoby w sposób trwały i pewny znaleźć rozwój”. Na marginesie tego wyznania należy zauważyć, że od roku 28 wprowadzono w życie samorząd gospodarczy rzemiosła, czyli tak zwane Izby rzemieślnicze, których budżet roczny wynosi ca 2 miljony złotych. Wydano więc dotąd około 18 miljonów złotych, zubażając o tę kwotę rzemiosło, aby nie dojść nawet do „stworzenia ram”, jak mówi minister. Dyrektorem Związku izb został pułkownik (od intendentury), dyrektorem Izby w Warszawie został pułkownik (kawalerji). Cechy ograniczono w ich działalności do zera, zamknięto mnóstwo stowarzyszeń rzemieślniczych, powołując opiekunów i popiętnych prezesów w rodzaju p. Snopczyńskiego. Czy nie nasuwa się pytanie, że obrócenie owych miljonów na kredyt dla rzemiosła w znaczniejszym stopniu przyczyniłoby się do jego rozwoju, aniżeli stwarzanie siłą samorządu, z którego, jak oświadczył sam minister, nic nie wyszło?

Przywódca polskich związków zawodowych b. poseł Zygmunt Żuławski ogłosił w przeddzień kongresu socjalistycznego znakomity artykuł, w którym wypowiada się przeciw zacieraniu granicy między dyktaturą a demokracją. Pisze m. in.: „nie wolno zapominać ani na jedną chwilę, że najpotężniejsza organizacja walki proletarjatu Polski: zjednoczone w Komisji Centralnej robotnicze związki zawodowe stały i stoją do tej chwili niezłomnie przy wszystkich swoich uchwałach o demokracji i rządzeniu demokratycznem. Takie samo stanowisko zajęli ostatnio chłopi, skupieni w Stronnictwie ludowem, wołający o wolność i przebudowę społeczną, w oparciu o zasadę demokracji. „P. Żuławski dowodzi, że tylko demokracja stwarza prawdziwą siłę a dyktatura rodzi słabość, którą pokrywa gwałtem i okrucieństwem. Artykuł p. Żuławskiego stanowi pośrednią odpowiedź na dziwny głos p. Kapitałki z „Robotnika”, który w dyskusji nad charakterem rządu robotniczo-włościańskiego napisał: „formuła o charakterze ewentualnie dyktatorskim tego Rządu symbolizuje właśnie w pojęciu szerokich mas dążenie do zdrowej, męskiej demokracji i do mocnego Rządu”. W świetle obrad radomskich można zdaje się stwierdzić, że linja p. Żuławskiego jest generalną linją P. P. S.

Tot.

PRZYPOMNIENIA

ZAKŁADNICY.

(I.) Z oświadczeń p. Premjera tudzież ministra spraw wewnętrznych wynika, że przyjął on za zasadę: prezesi odpowiadają za konduitę stronnictwa. Ludzie ze stronnictwa broją: prezesi i inni notable do Berezy. Doboszyński zrobi najście na Myślenice — za to Mech z Nowego Targu do miejsca odosobnienia. A teraz: powtórzą się ekscesy w powiecie Wysoko - Mazowieckim (skąd wszyscy notable obozu narodowego już wywiezieni), to odpowiedzą prezesi Stronnictwa (zapewne ci z Warszawy). Innemi słowy: pewni obywatele są zakładnikami za konduitę innych. Szukamy pojęcia zakładnika w dekrecie o ustanowieniu miejsc odosobnienia. Szukamy tego pojęcia w Ustawie konstytucyjnej 1935 roku. Napróżno. Niema.

Zakładników brano od niepamiętnych czasów w czasie wojen zewnętrznych czy domowych. Los zakładników bywał żałosny. Przed stu laty w Hiszpanji rządowe wojska wzięły w zakład i rozstrzelały matkę i dwie siostry karlistowskiego generała Ramona Cabrera. On zaś w odwecie wyprawił na tamten świat dwadzieścia kilka żon oficerów rządowych. Bogu dzięki, do tegośmy w Polsce jeszczenie doszli.

Ale też (o ile pamiętamy dobrze) niema teraz w Polsce wojny domowej.

RĘKOJMIE KONSTYTUCYJNE.

(K) Zwracaliśmy uwagę w „Odnowie“ na oczywistą niedostateczność rękojmi wolności osobistej, zawartych w art. 66 Ustawy z 23 kwietnia. Należy przecież podnieść z uznaniem, że Ustawa ta w innych dziedzinach zawiera różne solidne rękojmie. Tak np. w art. 40 orzeka wyraźnie, nie pozostawiając żadnego pola do interpretacyj:

„*Posłowie otrzymują diety i mają prawo do bezpłatnego korzystania z państwowych środków komunikacji w granicach Państwa.*“

Jest to (zdaje się) jedyny z tyczących się sejmu artykułów konstytucji marcowej, który w kwietniowej odnajdujemy prawie bez zmiany. Za to niewątpliwie doniosły.

A złośliwi krytycy twierdzą, jakoby reprezentacja narodowa była przez nową konstytucję upośledzona w życiu państwowem!

ANDRZEJ PRZEŁĘCKI

Wyścig o hetmańską buławę

Jest ich dwu: Skoropadskij i Konowalec.

Ten trzeci — Petlura nie jest wogóle brany pod uwagę, ani on sam, ani żaden z jego ludzi, mimo, że ich tak usilnie na terenie Wołynia lansuje p. wojewoda Józewski, sam zresztą, bliski współpracownik Petlury.

Skoropadskij od dawna siedzi w Berlinie, gdzie spełniał rolę rezydenta rządu Rzeszy od czasu, kiedy po raz pierwszy „zwąchał się" z Niemcami i podpisał swój sławny pakt niemiecko - ukraiński, poddający „Wolną i niezależną Ukrainę" pod wieczyste wpływy Niemiec. Jest to, jednem słowem, przedstawiciel „Tryzuba", przybranego w pikelhaubę.

Konowalec, do niedawna stale, wraz ze swym sztabem, rezydował w Genewie, skąd kierował konspiracyjną robotą organizacyj ukraińskich, pozostających pod jego wpływami. Kilka dni temu ukazały się w prasie wzmianki o tem, jakoby płk. Konowalec miał przebywać na Litwie, gdzie pertraktuje z czynnikami miarodajnemi. Inne mniej głośne, ale za to pewniejsze informacje wskazują na to, że sztab pułk. Konowalca przeniósł się z Genewy do Berlina i tam... pracuje.

Wszystko to wskazuje niedwuznacznie na fakt, że Niemcy, mimo, że stary pakt niemiecko - ukraiński uległ pozornie chwilowemu zawieszeniu, zaczęli się w ostatnich czasach znowu interesować „robotą" ukraińską. Okazuje się, że tak jest istotnie i, że niespełna miesiąc temu stary pakt został odnowiony.

Informacje w tej dziedzinie brzmią nawet bardzo sensacyjnie. Na ich podstawie można stwierdzić między innemi, że „góry" ukraińskich organizacyj nacjonalistycznych zostały zamknięte w formę lóż masońskich, a to ze względu na bardzo ostre klauzule, grożące tym, którzy powierzonego im zadania w tego rodzaju organizacjach nie spełnią. Jak się okazuje, Niemcy, którzy niewątpliwie w całej tej robocie, po łokcie. nurzają ręce, chcą mieć pp.: Skoropadskiego i Konowalca całkowicie w ręku — na śmierć i życie.

Jaki cel mieć mogą Niemcy w finansowaniu roboty Skoropadskiego, czy Konowalca?

Odpowiedź na to pytanie można łatwo znaleźć, trzeba tylko przyjrzeć się uważnie działalności organizacyj pozostających w dyspozycji każdego z „atamanów".

Konowalec dysponuje Organizacją Ukraińskich Nacjonalistów, których działalność niejednokrotnie już przewinęła się przed kratkami sądów polskich.

Skoropadskij ma na swoich usługach Ukrainśkuju Narodnuju Kozaczuju Organizacju, która ostatnio bardzo znacznie uaktywniła się na Wołyniu. Ostatnio władze prokuratorskie zlikwidowały jeden z „kurzeni" U-Na-K-Or'a na terenie powiatu Horochowskiego. Inne „kurzenie" działają zarówno na Wołyniu, jak i w Galicji Wschodniej.

Obie te organizacje są bojówkami o typie wyraźnie dywersyjnym znakomicie zorganizowane ,szkolone przez fachowych instruktorów i bardzo zręcznie zakonspirowane.

Między innemi dla tem łatwiejszego zakonspirowania swej działalności, obie te organizacje posługiwały się, jako przykrywką dla swej pracy, agendami legalnego i bardzo przez p. wojewodę Józewskiego lansowanego Wołyńskiego Ukraińskiego Obiednania: Ridną Hatą, Hatami Proswity i Sojuzom Ukrainek. Rzecz ta bez obsłanek wyszła na jaw w czasie procesu kostopolskich podpalaczy z pod znaku O. U. N. w Równem.

Wzmożona działalność obu tych organizacyj w ostatnich czasach: podpalenia w powiecie Kostopolskim i szereg innych aktów teroru (O. U. N.) i awantury ukraińskie na terenie powiatów Włodzimierskiego, Horochowskiego itd. (U-Na-K-Or.) wskazują na to, iż ich obydwaj wodzowie usilnie zabiegają o wpływy w Berlinie. W czasie, bowiem, śledztwa przeciwko U-Na-K-Or'owi w Horochowie niedwuznacznie wyszło na jaw ,że organizacja ta finansowana jest za pieniądze, pochodzące z Berlina.

Dotychczas trudno powiedzieć, czy Skoropadskij, czy też Konowalec zwyciężył w wyścigu o buławę Hetmana Ukrainy. Że obaj do wyścigu stanęli jest rzeczą absolutnie pewną. Że w razie jakiejkolwiek zawieruchy wojennej na wschodzie Europy organizacje ich są przeznaczone do tego, aby Polsce wbić niespodziewanie nóż w plecy, to także nie ulega wątpliwości.

Kto obecnie panuje w Gdańsku, — już nikt nie ma złudzeń, pomimo wysiłków, aby złudzenia jeszcze jakiś czas trwały. Obecnie ręce niemieckie przeniosły ciężar zagadnienia na południowschód Polski.

Znowu są pozory. Znowu powstają fermenty, niby nienaruszające paktu o nie-agresji polsko - niemieckiej. Znowu czynniki odpowiedzialne nie widzą, nie wnioskują. I znowu ci ,którzy ostrzegają, chociaż właściwie należałoby bić na alarm, są zlekceważeni, a dobrze, jeśli nie są zmuszani do milczenia.

We... Francji zostawiają w spokoju podpalaczy, prześladują zaś tych, co biją w dzwony na alarm.

Chamfort: „Maksymy i myśli" str. 68.

Czwarta Brygada... antysemicka

Naprzód była pierwsza brygada. Elita, sam kwiat.

Potem druga. Un peu, czut' czut' gorsza, ale zawsze — brygada i wogóle — owszem, owszem.

Później szła trzecia: taboryci, wieczna kadra i wogóle tacy, co się pętali „przy" legionach, bo w samych legionach nigdy prochu nie wąchali.

Z tych trzech brygad, trochę poległo, nieco się wycofało z życia publicznego, sporo rozproszyło po prowincji, nie mało wsiąkło w bezimienny, szary tłum cierpiętników podatkowych, albo ukontentowało się jakąś posadziną czy budką z papierosami.

Reszta, sama elita elit, wodzowie, matadorzy, obsiedli hurmem stoliki w Europie, Oazie i u Simona i poczęli nadawać ton.

Początkowo szło jako tako.

Aliści, maluczko, a poczęły dziać się cuda. —

Coraz to więcej typów poczęło się włóczyć po modnych kawiarniach i dancingach z przyszpilowanymi buńczucznie odznakami I brygady w klapie.

Co? skąd? jak? — prawdziwe leguny, aż się krzyżem Pańskim na zjazdach żegnały, istną nawałę owych nieznanych bohaterów obserwując.

— Ano wtranżoliły się juchy! mówili spluwając przez zęby.

A „juchy" jak się szybko „wtranżoliły" tak jeszcze szybciej obsadziły wszelkie intratne posady, lukratywne stanowiska, tłuste synekury i drogi do tych ponętnych smakowitości wiodące.

Zaczęła się w życiu kraju nowa era — era czwartej brygady.

Czwartobrygadziści rządzili, nadawali ton, tworzyli „obóz" i „wyznawali" „ideologję". Nikt z nich, coprawda nie umiałby powiedzieć, na czem właściwie owa ideologja polega, ale to było niepotrzebne.

Wypędki, odpadki wszelakich partyj, szmelc stronnictw, męty ugrupowań — składały się na trzon, jądro tej brygady, bardziej leguńskiej, niż same leguny.

Tak zwykle bywa — było tak i u nas.

Dziś powtarza się to samo.

Dla odmiany w innej dziedzinie — w antysemityzmie.

Pierwsza brygada: endecja, druga: O. N. R. i trzecia: rozmaite ugrupowania narodowe, są spychane, dystansowane i licytowane przez odpadki, wybierki, szmelc i męty dawnego B. B. W. R. i trzon, jądro zarazem nowej czwartej brygady antysemickiej pułk. Sławka.

„Wtranżoliły się juchy" na teren czysto endecki i uczą starych endeków antysemityzmu!

Z Jareckim stosunków towarzyskich nie utrzymują, bo... Heyman im cebulą pono zalatuje.

Tacy rasiści!

Z ideologją natomiast — jak wyżej.

Wiedzą, że biciem kwestji żydowskiej nie rozwiążą, sposobu na natychmiastową emigrację trzech miljonów żydów — też nie wynaleźli, ale... bojowi antysemici są!

Bo na tym, kto wie? może się będzie można odegrać, dostać z powrotem na siodło, do żłobu!

A żłób dla nich to grunt — alfa i omega — wszystko!

Typowa czwarta brygada!

X.



Jeden z moich przyjaciół pisze mi z Wilna:

„Żyjemy w strasznie burzliwych czasach. Co z tego będzie? Jesteśmy naprawdę na beczce prochu: Lada iskra nas może wysadzić. Np. sprawa żydowska. Dla mnie sytuacja jasna: Jesteśmy z nimi w stanie wojny. Trzeba ją jednak uregulować po chrześcijańsku. Że wojna *może* być uregulowana po chrześcijańsku, o tem świadczy choćby de Maistre czy Norwid. Całe zło w tem, że nikt o *takiej* regulacji nie myśli. Drugi pewnik, że gdy się ustali tamten pewnik (iż to *wojna)*, Żydzi nie cofną się przed żadnym środkiem np. przed rozżarzeniem (?) w Polsce bolszewizmu i przed rozegraniem jej (wojny) na tej drodze. Otóż jak się przygotować do tej ewentualności? Czy się coś w tym celu robi? Toć to są sprawy najważniejsze."

„Wojna chrześcijańska": Nie bardzo lubię to wyrażenie, bo się w niem kryje coś, co jest zakłamaniem. Zaraz mi się przypomina ta kartka z czasów wojny włosko - abisyńskiej, przedstawiającą M a d o n n ę n a t a n k u. Dziwnie piękna p r o p a g a n d a f i - d e i!... I ciekaw jestem, czy ciężar miażdżący tego tanku mniejszy był, czy większy?... Takie właśnie bluźniercze nadużycia religji do polityki — to „k r z y ż a c t w o".

Ależ „Chrystus przyniósł m i e c z", odpowiedzą mi zaraz nowi zelanci starej inkwizycji. Owszem, jest tak powiedziane, o „mieczu", tylko trzeba, moi panowie torkwemadyci pospolitego ruszenia, znać się trochę lepiej na teologji, a to zarówno teoretycznej, jak i p r a k - t y c z n e j. Ten „miecz", to miecz ducha na grzech , nie na ludzi. Pamiętacie Piotra i Malchusa?... W ścisłym sensie, nie może być żadnej „chrześcijańskiej wojny" prócz wojny dusz z djabłem i śmiercią.

Niemniej wolno, sądzę, pod pewnemi warunkami mówić o „wojnie chrześcijańskiej", nb. w znaczeniu bardzo nieścisłem i tylko zlekka przybliżonem (i jestem przekonany, iż z tą właśnie restrykcją wyrażenia tego użył mój przyjaciel), a mianowicie wtedy, gdy się c h r z e ś c i j a ń s k ą wojnę przeciwstawia p o g a ń s k i e j, czyli po dzisiejszemu, t o t a l n e j, gdy się jako postulat stawia taką wojnę i tylko taką, w której wojujący, nawet w rozpaleniu boju, jeszcze umieją powściągnąć się od okrucieństwa, które już nie jest bezpośrednio i niezbędnie do zwycięstwa potrzebne, tylko jest zabawą podłych, sztuką dla sztuki, sportem djabła zwycięscy. Namiętność jest potrzebna do walki, nienawiść jest jej nagłym ogniem, ale umiejętność powściągania się w nienawiści jest jedną z bardzo trudnych nauk, zadanych chrześcijaninowi. Oto najprostsze rzeczy, godne przypomnienia, gdy się idee religijne wciąga do polityki. Mamy, tu na ziemi, zbyt wiele śmiertelnie ważnych i poważnych spraw, o które t r z e b a wojować. I mogą jeszcze przyjść momenty, w których trzeba będzie przeciw Malchusowi szablę wznieść... i nie złożyć jej przed zwycięstwem?... Ale wojenny rozlew krwi w imię chrześcijańskiej idei, to już tragiczna o s t a t e c z n o ś ć: t r a - g i c z n a, bo jeśli najgłębszym sensem nieba chrześcijańskiego nie byłby pokój wieczny, to dokąd wzdychalibyśmy z ziemi, krwią powalanej?... Jeśliby jeszcze religja jątrzyła zamiast łagodzić, to cóż pozostanie?...

Pozatem, wartoby mieć trochę gustu i respektu z tem pojęciem: „Wojna". Wojna to rzecz wielka, wiedzą o tem ci, co szli na wojnę i co widzieli wymarsze na wojnę. Są, i jeszcze mogą być, śmiertelnie poważne Alkazary; ale Alkazarom przeszłości i przyszłości i samej idei wojny i zarazem i d e i ż o ł n i e r - s t w a, mogą tylko ubliżać łatwe, zarozumiałe, ckliwe—imitacje. Kiedy à propos rozruchów antyżydowskich słyszę, jak ktoś przy sposobności wymienia owego sławnego por. Psichariego, co na placu wojny poległ „z r ó ż a ń c e m w r ę - k u",—i kiedy jeszcze, przy innej okoliczności, z innych i n t e l i g e n c k i c h (o tempora, o mentes!) ust, dowiaduję się, że Pan Jezus t a k ż e bił Żydów w ś w i ą t y n i" (sic) — to chce mi się krzyczeć i wołać: Do licha, czyżby antysemityzm miał być tak głupią ideą, ażeby do tego stopnia móc ludzi ogłupiać, tak trywialną, ażeby aż do tego stopnia móc ich wyłuskać z gustu i czucia dystansów?!...

Ale j a nie mam tak lichego o antysemityzmie pojęcia. Kiedy idę przez nasze polskie miasta i miasteczka, ohydne w swej nędzy i brzydocie, obce mi tak, jak obce byłyby mi przedmieścia Honolulu, Singapore, Szanghaju, Aleksandrji, Haify, i kiedy ze zazdrością bolesną porównywam je z miastami w Europie, w europejskim stylu, z ich ulicami i uliczkami schludnemi i swojskiemi, z ich rdzennie narodowem mieszczaństwem, które dzieci swoje wychowuje na uczestników narodowej, własnej, a nie jakiejś obcej kultury czy barbarji, na obrońców ojczyzny, a nie na masę spiskującą i niechętną lub przynajmniej obojętną, na bohaterów a nie na dezerterów (choć swoją drogą, „semity" z „dezerterem" nie „utożsamiam", bo pamiętam o bohaterskich jednostkach, ale w polityce liczy się masa); kiedy, z boleścią i przerażeniem myślę o tem, jak tysiące i dziesiątki tysięcy hektarów ziemi polskiej przechodzą w żydowskie ręce, — to wtedy zdaję sobie jawnie i bez żadnego wątpienia sprawę, iż żądanie Polaków, ażeby „b y ć j a k i n n i", ażeby się otrząsnąć z tego ciężkiego i wyjątkowego handicapu, jakim my jesteśmy w dziejowym o cywilizację i wolność wyścigu obarczeni — iż dążenie owo jest dążeniem historycznem tak zdrowem i sprawiedliwem, dla rozsądku i sumienia wszystkich bezstronnych, tak przejrzystem, iż do mego k o n t r j u d a i z m u nie potrzeba mi żadnej irracjonalnej, ani sztucznej podpory, ani podpórki, ani rasizmu, ani religji, wymienionej na fanatyzm, ani żadnych fałszów z rasizmem, kłamliwie przebranym za religję, ani głupot żadnych, ani złośliwości, ani wreszcie, rozmienionej na lichą monetę pałkobicia, idei wojny.

*Wojna ma swoją logikę, t. j. l o g i - k ę w o j n y, która, w danym wypadku, oznaczałaby w końcu monstrpogrom (bo inaczej, pocóż mówić o w o j - nie, wzgl. „powstaniu"?), albo przynajmniej pogrom chroniczny, ale ta logika wchodzi w sprzeczność z innemi: logiką moralności i logiką władztwa. O moralności niema wiele co gadać: Płacz dziecka, strach kobiety, hańba mężczyzny, z n a c z ą c o ś, c z y n i e z n a - c z ą n i c?! Jedno z dwojga; jeśli jednak nie znaczą, to trzeba będzie iść do okulisty i kazać sobie belkę z oka wyjąć... Pozatem zauważę, iż bez względu na to, czy ta ludność, hurtem i detalicznie wzięta, jest komu sympatyczna czy antypatyczna, pożądana czy niepożądana, to jednak de facto ta ludność tu jest — i nikt jej w ciągu lat nie zdmuchnie stąd, ani nie „wymiecie"... Wieki nie dadzą się w kilku latach odrobić, historja, która chciała zniszczyć polskie mieszczaństwo, mści się... A, samym faktem istnienia Żydów tutaj, między nimi a nami, są i m u s z ą być stosunki s ą s i e d z k i e, te małe powszednie stosunki między człowiekiem a człowiekiem, w tramwaju, w pociągu, na ulicy: k a ż d y m o ż e z a c h o r o w a ć n a u l i c y, tak żyd na katolickiej, jak katolik na żydowskiej... Nie chcę tu przypominać pewnych tekstów, które naszym antysemitom „religijnym" powinny być znane. Dość, że jest pewien minimalny poziom przyzwoitości i życzliwości w międzyludzkiem obcowaniu, który, wbrew innym względom, trzeba utrzymać, bo nie utrzymać go, to byłoby ćwiczyć w metodycznej szykanie dzieci nasze i żadnych już hamulców nie nakładać coraz powszechniejszemu, we wszystkich dziedzinach i między wszystkimi ludźmi, coraz wzmagającemu się obrzydłemu chamulstwu *). Wiem, że sprawa polsko-żydowska to sprawa historyczna, a historja nie miała zwyczaju troszczyć się o t. zw. „sentymentalizmy"; ale walka o przyszłość człowieka i godność człowieka też należy do historji.*

*) W sądzie grodzkim odbyła się rozprawa przeciwko b. studentowi politechniki warszawskiej, Krasowskiemu, oskarżonemu o wywołanie zajścia w kinie „Lux" w Wilnie.

Krasowski, w czasie wyświetlania filmu, siedząc za dwiema paniami, podsłuchał ich rozmowę i zdawało mu się, że są żydówkami.

W pewnym momencie poirytowany ich rozmową chwycił obydwie panie za głowy i zaczął je stukać o siebie.

Powstało zamieszanie, policja sporządziła protokół i sprawę przekazano sądowi.

Jak się okazało, jedna z pań była żoną profesora Uniwersytetu wileńskiego, druga zaś cudzoziemką. Sąd skazał Krasowskiego na 500 zł. grzywny z zamianą w razie niemożności zapłacenia na dwa tygodnie aresztu.

(I. K. C. 24.I. 1937 Koresp. z Wilna).

Z logiką władztwa (ani psychologją prawdziwie władczą) nie godzi się pojęcie wojny domowej, t. j. wojny wewnątrz tego samego, czysto lokalnie rzecz biorąc, społeczeństwa i państwa. Jeśli wojna, to wojna na śmierć i życie. Innego słowo to sensu nie ma. A któryż władca, prócz władcy tatarskiego i bolszewickiego i innych im podobnych, uprawnionym czuje się do wydawania wojny swoim podwładnym? Owszem, władca musi być gotów przyjąć wojnę i przeprowadzić ją aż do skutku przeciwko tym spośród podwładnych, którzy pierwsi, jemu t. j. państwu i społeczeństwu tę wojnę wypowiedzieli, a tymi są groźni zbrodniarze, niebezpieczni przestępcy, sabotażyści, dezerterzy (podczas wojny), zdrajcy, bojowcy krwawego przewrotu. Wypowiedzieli wojnę i niech zginą w tej wojnie! Jeśli któryś odłam ludności w największym procencie ich dostarcza, to najsrożej ucierpi prawem wojny. Ale sam fakt, że ktoś się urodził na tem miejscu mniej pożądanym, nie stanowi o tem, jakoby on władcy tego miejsca wydał wojnę. Władca, czyli państwo i naród panujący, (jeśli nb. to jest t. zw. „chrześcijański władca“) ma prawo hierarchizować, pomagać, powściągać, ograniczać, karać, nagradzać, ale nigdy wydawać wojnę tym, którymi włada, bo ma wobec nich, jako immanentny obowiązek władzy, obowiązek zapewnienia im conajmniej minimalnych warunków ludzkiego bytowania. Pozatem, już z poziomego bardziej, ale praktycznie ważniejszego punktu widzenia, zauważmy, iż hasło wojny (domowej) jest niezmiernie pożądane dla tych wszystkich, którzy pragną przewrotu. Patrzcież na doły miasta i wsi, jaką nienawiścią dymią i zieją, wybuchającą przy okazji wszelkich utarczek z władzami bezpieczeństwa, do wszystkiego, co jest państwem i „panami“! Kto jak kto, ale my, którzy jesteśmy tu władcami, nie dawajmy masom, w które bolszewizm przesiąka (za nb. pośrednictwem żydowskich przeważnie agentów!), nie dawajmy im możliwości pomyślenia, iż jest wogóle, jakakolwiek wojna na ulicach i w społeczeństwie możliwą. Nie z lęku, na wszystko trzeba być gotowym, ale dlatego, ażeby nie podkopywać idei i wizji wysokiego Nienaruszalnego Prawa.

Proces historyczny nacisku Polaków na Żydów, czyli wyciskania Żydów z Polski, już się rozpoczął; ale od tego faktu ważniejsze jest, iż to proces słuszny. Teraz idzie o to, ażeby na serjo i rozsądnie przemyśleć i obmyśleć takie sposoby polityczne i takie obyczajowe postawy, iżby proces ten potoczył się regulowany względami na celowość swoją, na realne komplikacje życia, na moralną przyzwoitość. Uwagi te, czysto wstępne, miały zamiar wyłącznie negatywny: usunąć z tego terenu pojęcie wojny, zastąpić je pojęciem nacisku.

Byłoby tartuferją moralistyczną, skoro mowa o nacisku (przy którym bez jakiegoś ucisku obejść się żadną miarą nie może), wypierać się pojęcia i słowa walka. Ale kto przegląda różne znaczenia tego słowa, ten przyzna, jedyną walką, przy której dopuszczalną jest krew i śmierć, jest to walka, która się nazywa „wojną“.

Cyrano.

Szkice ze wsi

Stosunek rządzącego państwem systemu do wsi przechodził najrozmaitsze fazy i nie można powiedzieć nawet teraz, że został już ostatecznie skrystalizowany. Ulegał ciągłym wahaniom, rozwijał się zygzakowato, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, jeżeli się uwzględni, że wieś polska w olbrzymiej swej większości żyje własnem życiem, nie mieszczącem się w granicach i ramach płynących z góry inspiracyj i nakazów. Ten fakt tłomaczy liczne posunięcia wobec wsi z ostatnich kilku lat. Byłoby ciekawe kolejne ich wyliczenie z dodaniem choćby krótkich komentarzy, ale sprawa ta nie jest przedmiotem niniejszych uwag. Wystarczy nam przypomnienie i stwierdzenie dwóch krańcowości w tym względzie: lekceważącego stosunku do wsi, manifestowanego dość wyraźnie przez wybitnych działaczy systemu, i głośno, powiedzielibyśmy nawet, hałaśliwie reklamowanego hasła: frontem do wsi.

Pomimo tej różnorodności zapatrywań, poglądów, wytycznych i realnych poczynań, których przedmiotem i celem jest od kilku lat wieś polska, nic właściwie nie zmieniło się w jej życiu politycznem, kulturalnem i gospodarczem. Nie znaczy to, żeby wieś nie ulegała przemianom i przeobrażeniom, żeby zastygła w bezruchu czy zastoju. Tak nie jest. Ale przemiany i przeobrażenia nie idą po linji wspomnianych już inspiracyj i nakazów, a następnie proces rozwojowy wsi, ze względu na nasze specyficzne warunki, odbywa się bardzo powoli, przyczem — co jest konsekwencją tego stanu rzeczy — zużywa się wiele energji i sił na sprawy, które zdawałoby się, nie powinny istnieć w niepodległem państwie polskiem, tak są bowiem naturalne i proste. Gdy czyta się niezależne pisma ludowe, gdy śledzi się za wysuwanymi przez nie postulatami, będącemi wyrazem dążeń i aspiracyj najszerszych mas włościańskich, zdumienie wprost ogarnia, że niemal w dwadzieścia lat po odzyskaniu niepodległości te elementarne postulaty pozostają w dalszym ciągu w sferze życzeń i walk politycznych. Byłoby to niezrozumiałe nawet w kraju o znikomym odsetku ludności włościańskiej, a cóż dopiero w państwie, w którem masy wiejskie stanowią przeszło 70 proc. jego ludności. Ten stan rzeczy może być śmiało uważany za jeden z najdziwaczniejszych paradoksów naszych stosunków wewnętrznych. Są one tego rodzaju, że powstrzymują rozwój wsi, wykoszlawiają niejednokrotnie jej naturalne i zdrowe tendencje, nie przyczyniając się do podniesienia poziomu życia wiejskiego pod żadnym względem: politycznym, społecznym, kulturalnym i gospodarczym. Co do tego nie można mieć żadnych wątpliwości. Wyrobienie polityczne kilku czy kilkunastu powiatów małopolskich, wyższy, niż gdzieindziej, poziom życia gospodarczego wsi wielkopolskiej, są to wyjątki od reguły, obserwowanej na całej przestrzeni państwa polskiego, a reguła ta nie jest ani pocieszająca, ani uprawniająca do optymizmu: zacofanie wsi jest ogromne, a jej udział w dorobku kulturalnym narodu — minimalny.

Prawda, że tam, gdzie są silne wpływy Polskiego Stronnictwa Ludowego, wzrosło zainteresowanie wsi naszą polityką zagraniczną, ale gdzie nie ma tych wpływów, wieś nie interesuje się tą sprawą, jak nie interesuje się wielu innemi o charakterze ogólno-polskim i o znaczeniu państwowem. Wzięliśmy ten przykład, że tak powiemy, jako pierwszy z brzegu, który nam się nasunął przy obserwacji stosunków wiejskich w różnych częściach kraju.

Niedorozwój polityczny wsi polskiej, jako nieunikniona konsekwencja naszej sytuacji wewnętrznej, jest zjawiskiem, mimo wymienione już wyjątki, powszechnem, którego lekceważyć nie można, bo to może mieć ujemne następstwa, zwłaszcza w chwili, kiedy naród będzie musiał się zdobyć na maksimum tężyzny, energji i solidarności. Tej ewentualności da się zapobiec przez pogłębienie uświadomienia narodowo - państwowego w szerokich masach ludności wiejskiej, a do tego celu prowadzi tylko jedno droga: uwzględnienie tych postulatów, które od szeregu lat nie schodzą z łamów pism ludowych i pod któremi — bez żadnej przesady powiedzieć to można — znajdują się podpisy miljonów obywateli. Jest to aksjomat, który nie wymaga żadnych uzasadnień.

Drugim takim aksjomatem jest ścisły związek pomiędzy sytuacją polityczną a położeniem gospodarczem, wyrobieniem społecznem i poziomem kulturalnym wsi polskiej. W ustroju, przy którym państwo, a ściślej rząd, pragnie zostać jedynym rozdawcą dóbr duchowych i materjalnych, jedynym regulatorem stosunków między obywatelami, wszystkie dziedziny życia publicznego muszą niedomagać. Istnieją wprawdzie izby rolnicze, istnieje wielka organizacja, mająca łączyć wielkich, średnich i drobnych rolników, ale działalność tych instytucyj prawie zupełnie nie sięga wsi, nie widzimy jej śladów w codziennem życiu tej wsi chociażby w formie tak elementarnej, jak przyjazdu instruktorów rolniczych, urządzania pogadanek i t. p., to jest tych środków, które były szeroko stosowane przed powołaniem do życia izb rolniczych i przed scentralizowaniem organizacyj rolniczych. Tam, gdzie dawniej istniały spółdzielnie mleczarskie, jajczarskie lub handlowe, to przeważnie istnieją nadal, ale powstawanie nowych na terenach pod tym względem jeszcze dziewiczych należy do rzadkości. Wieś samorzutnie porzuca niektóre dotychczasowe formy produkcji i handlu, np. masłem, ale nie tworzy spółdzielni, bo nie ma jej kto tego nauczyć. Nosi mleko do mleczarzy wiejskich, którzy z reguły są żydami, i co dopiero wyrabiają masło, dostarczając je następnie na rynki miejskie. Dzieje się to w całym szeregu powiatów na terenie b. Kongresówki. Jeszcze parę lat, a może jeszcze wcześniej, i z rynków tych zniknie typ kobiety wiejskiej, sprzedającej masło, bo cała produkcja i handel tym artykułem przejdzie w ręce mleczarzy żydów. Zamiast więc wyższej formy w tej dziedzinie, jaką są spółdzielnie, zarówno jako źródło dochodów dla zrzeszonych w nich rolników, jak i podstawowa komórka pracy społecznej, powstaje nowe ogniwo w długim łańcuchu pośrednictwa, odgradzającego producenta od konsumenta, z niepowetowaną szkodą dla obu.

Znowu zadowolimy się jednym przykładem, bo nie chodzi nam o wszechstronne przedstawienie „rzeczywistej rzeczywistości” na wsi polskiej, ale raczej o jej naszkicowanie. Dotknęliśmy już dwóch dziedzin tej rzeczywistości: politycznej i gospodarczej. Obraz byłby niezupełny, gdybyśmy nie wspomnieli o trzeciej: kulturalnej.

I pod tym względem, jeżeli uwzględnimy kilkunastoletnie istnienie szkoły polskiej na terenie b. Kongresówki i w województwach kresowych, niedorozwój wsi polskiej jest bardzo duży. Czytelnictwo, które jest sprawdzianem poziomu kulturalnego, czy to całego społeczeństwa, czy też poszczególnych jego odłamów, przedstawia się na wsi niesłychanie opłakanie.

Nie lepiej jest z czytaniem książek. Ciekawy to i zastraszający zarazem objaw, że szkoła ludowa, przez którą corocznie przechodzą miljony dzieci, nie zdołała rozbudzić zamiłowania do czytelnictwa.

Szkicując położenie wsi i wskazując na niektóre niedomagania w jej życiu, nie mamy zamiaru doszukiwać się ich przyczyn wyłącznie w kierunku czy też błędach systemu, nie mniej jednak nie da się zaprzeczyć, że system ten przez swą wyłączność i zdecydowane dążenie do podporządkowania sobie wszystkich przejawów tego życia, ponosi dużą odpowiedzialność za obecne stosunki wiejskie. Z tego zdaje sobie sprawę Polskie Stronnictwo Ludowe i dlatego tak wytrwale i konsekwentnie domaga się zmiany tego systemu.

Ale są także sprawy, które nawet przy obecnym systemie, winny być załatwione w interesie szerokich mas włościańskich. Istnieje wielkie pole dla pracy gospodarczej, której celem jest podniesienie dobrobytu wsi i usunięcie rażących zaniedbań zarówno w dziedzinie uprawy roli i hodowli, jak i w zakresie racjonalnego zużytkowania rezultatów produkcji. Jest to zadanie, które ciąży na wspomnianych już parokrotnie organizacjach rolniczych. Nie spełniają one tego zadania, jak należy, więc trzeba o tem pisać i domagać się, by wieś dowiadywała się o nich nie tylko przy okazji różnych uroczystości, ale także w codziennem życiu. Instytucje te utrzymywane są z pieniędzy podatkowych, których dostarcza także wieś, jest więc rzeczą zupełnie słuszną, żeby wieś z tych instytucyj miała chociaż minimalną korzyść.

Jest jeszcze jedna sprawa, która wiąże się jak najściślej z niniejszemi rozważaniami. Jest jeszcze o niej głucho, ale to nie znaczy, żeby nie była aktualna. Sprawą tą jest konieczność osiedlania się na wsi inteligencji i czynny jej współudział w pracy nad jej rozwojem. Gdy miasta są przepełnione inteligencją, cierpiącą coraz bardziej od następstw kryzysu gospodarczego, wieś polska cierpi wskutek braku sił inteligentnych. Pod tym względem upośledzenie wsi naszej jest niezwykłe nie tylko w porównaniu, naprzykład, z wsią czeską, ale nawet ze wsią rusińską w Małopolsce Wschodniej. Świetny rozwój spółdzielczości rusińskiej jest przedewszystkiem dziełem inteligencji rusińskiej, osiedlającej się na wsi i pracującej nad jej rozwojem zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak i kulturalnej. Polska wieś bez udziału w jej życiu inteligencji nie wyjdzie prędko ze stanu zacofania. Inteligencja wiejska to wprawdzie odrębny problem, ale mieszczący się w ramach wielkiego zagadnienia wsi polskiej.

A. D.

Odpowiedzi redakcji

Ks. Jakób S. Z. Temat poruszony przez W. Ks. nietylko się nie nadaje do poruszania go w prasie, ale nawet do wyrażania opinji w listach, przesyłanych pocztą. Zazwyczaj bieg życia odpowiada na pytanie: co dalej?

P. W. K. w Sokolach. Dziękujemy za cenne uwagi, artykułu jednak nie umieścimy, ponieważ sprawy motoryzacji jeszcze nie poruszamy.

Prof. L. w Krakowie. Zwracamy uwagę na deklarację w n-rze 1 oraz na artykuł „Krok wstecz“ w n-rze 5 „Odnowy“ z r. 1936.

Książki nadesłane

Stefan Osten. Z krwawej Hiszpanji. Kraków 1937.

„To, co obecnie piszę o Hiszpanji, to nie pierwsza moja w tej sprawie praca. Jestem demokratą z przekonania. Jeżeli jednak chodzi o stosunki hiszpańskie, to w moich dotychczasowych sprawozdaniach o wojnie domowej w tym kraju nie mogłem darzyć sympatją madryckiego rządu“.

Stefan Olpiński (Osten). W darze dzieciom. Kraków 1937.

„Jeszcze w czasie rekonwalescencji uczyniłem kilka ślubów, a m. in. i ten, że jeszcze w bieżącym roku napiszę i wydam jakąś pracę poświęconą wychowaniu młodzieży w duchu szczerze katolickim“.

Bohdan Cywiński. Przemysł polski w latach 1933 — 35. Warszawa 1937.

„W pracy niniejszej chcę zobrazować położenie przemysłu polskiego w latach 1933 — 35, kiedy, po katastrofalnem obniżaniu się konjunktury do 1932 roku, nastąpiła pewna poprawa“.

Świat pracy

AKCJA BANKOWCÓW.

Bankowcy rozpoczęli akcję, zmierzającą do wprowadzenia w życie umów zbiorowych. W tym celu na dzień 31 stycznia r. b. został zwołany zjazd delegatów związku pracowników bankowych i kas oszczędności. Na porządku dziennym jest sprawa proklamowania jednodniowego strajku protestacyjnego, względnie ogłoszenia strajku w całym kraju aż do uzyskania wszystkich postulatów.

Na zjazd zapowiedzieli swoje przybycie delegaci wszystkich związków zrzeszonych w Unji Pracowników Umysłowych dla zamanifestowania solidarności z pracownikami bankowymi.

PROTESTY I PROTESTY.

W sejmie nagromadziło się wiele projektów ustaw, mających uregulować stosunki robotnicze i pracownicze wobec przemysłu i przedsiębiorstw państwowych oraz samorządów państwa. Dotychczasowe przepisy nie gwarantują normalnego rozwoju życia gospodarczego, a w niejednym wypadku tamują jego bieg. Tedy postanowiono sprawy uregulować.

Ale im bliżej do urzeczywistnienia projektowanych zamierzeń, tem większe powstaje wrzenie wśród warstw pracujących. Wszystkie organizacje robotnicze i pracownicze twierdzą zgodnie, że projekty rządowe nietylko nie usuwają zła, ale je pogłębiają, wszystkie projekty ustaw w tej dziedzinie, to tylko karykatury ustaw istniejących dotychczas. To też w ostatnich dniach z całego kraju wpłynęło do władz centralnych w Warszawie wiele depesz protestacyjnych, co skłoniło premjera do wycofania wszystkich projektów z plenum sejmu i przekazania ich do komisyj celem ponownego przestudjowania i opracowania zgodnie z wolą świata pracy. Oczywiście zgodnie tylko do pewnego stopnia, bowiem wola mas bardzo daleko odbiega od zamierzeń rządu.

Wycofanie projektów rządowych w sprawie ustawodawstwa robotniczego przyczyniło się do pewnego odprężenia wśród robotników i pracowników umysłowych.

KONGRES RAD ZAŁOGOWYCH KOPALNIANYCH.

W Katowicach odbył się kongres rad załogowych kopalni zagłębia krakowskiego, dąbrowieckiego i Górnego Śląska. Delegaci reprezentowali wszystkie organizacje górnicze i wypowiedzieli się przeciwko projektowi, wniesionemu do sejmu w sprawie zaprowadzenia 6 godzinnego dnia pracy w górnictwie i hutnictwie. Jak już wiadomo, żądania w tej mierze zostały wysunięte w listopadzie r. ub. i wówczas premjer gen. Składkowski przyobiecał górnikom wnieść do sejmu projekt ustawy o zmniejszeniu dnia pracy.

Projekt został wniesiony i zawiódł górników, przewiduje bowiem tylko zmniejszenie w niektórych zakładach przemysłowych, w „zależności od potrzeb“ i to przedewszystkiem tylko w zakładach prywatnych. Jest przytem postawione ograniczenie co do czasu trwania skróconego dnia pracy.

Na to nie godzą się robotnicy i w uchwalonej rezolucji oświadczyli, że domagają się od rządu stwierdzenia jasno i wyraźnie, iż czas pracy zostaje skrócony do 6 godzin, bez obniżenia płac, i że dotyczy to wszystkich górników, zatrudnionych w górnictwie, to znaczy — wszystkich kategoryj robotników,

wszystkich kopalń i wszystkich okręgów górniczych. Na zdecydowaną odpowiedź rządu kongres wyznaczył termin do 15 lutego r. b.

CHCIAŁ BYĆ SŁAWNIEJSZYM.

W szeregach niektórych grup świata pracy zaczyna być coraz jaśniej, mamy coraz więcej do zanotowania faktów, stwierdzających, że przywódcy grup, rekrutujący się spod znaku BBWR, służyli przedewszystkiem samym sobie. Tak jest obecnie z b. posłem Ignacym Starzykiem, który był wybitnym działaczem sanacyjnym wśród pocztowców. Sława jego jednak wśród pocztowców jemu samemu musiała nie wystarczać, skoro wykradał dolary z listów przesyłanych przez emigrantów polskich z Ameryki. Istotnie wsławił się tem bardzo i ma to tę dobrą stronę, że pocztowcy patrzą od tej chwili podejrzliwie na wszystkich innych działaczy sanacyjnych w tej grupie.

WYGRALI POŻYCZKĘ.

Pisaliśmy o akcji strajkowej w państwowych fabrykach tytoniowych i spirytusowych. Robotnicy zażądali po 100 złotych zasiłku na zimę. Ponieważ dyrekcje ani słuchać o tem nie chciały, robotnicy postanowili przeprowadzać codziennie półgodzinne strajki protestacyjne. Gdy i to nie pomagało, strajki przedłużały się i dochodziły do dwu godzin dziennie.

To poskutkowało. Rozpoczęły się pertraktacje. Minister skarbu p. Kwiatkowski wkońcu wydał decyzję przyznania wszystkim robotnikom zakładów pożyczki do wysokości dwutygodniowych zarobków. Pożyczki będą spłacane od czerwca 1937 r. Pozatem przyznano znaczne ulgi w spłacie podatku nadzwyczajnego.

J. J.

Przegląd Prasy Krajowej

„BUNTOWI MŁODYCH".

(w. n.) W polemikę wdajemy się bardzo niechętnie. Czynimy to tylko wówczas, kiedy przy jej pomocy możemy coś wyjaśnić, coś stwierdzić, coś sprostować. Słowem wówczas, kiedy z polemiki obie strony i bezstronny czytelnik wynieść może jakąś korzyść. Trzeba do tego, aby polemika wnosiła jakieś nowe argumenty lub przytaczała nieznane fakty. W artykule „Między Niemcami a Rosją" *(Bunt Młodych*, nr. 2 (116) z dnia 25.I.1937), którego główna część poświęcona jest odpowiedzi na nasz artykuł „Na rozdrożu", tego nie znajdujemy. Przeto odpowiadać na te przydługie wywody nie będziemy. Bo uwagi o „deformation professionelle", naszpikowane studencką erudycją, nie zdołały nas ani zainteresować, ani tem mniej dotknąć. A końcowe wywody, dotyczące Czechosłowacji, oparte w dodatku na cytacie niedokładnym — przykro nam, że znów musimy uczyć dobrych obyczajów publicystycznych — są demagogicznym chwytem na tym poziomie, na którym zasadniczo dyskusji nie przyjmujemy. Mój Boże! Jakąż to trzebaby wypisać listę zbrodni niemieckich, na jaki wznieść się stopień patosu i kogo cytować, aby „pognębić" tych, którzy malgré tout nawołują do zgody z Niemcami i program swój starają się w czyn wprowadzić! Nie uważamy, aby taką metodę mogli stosować ludzie poważni. Dlatego odpowiedzi naszej nie będzie. Natomiast damy *Buntowi Młodych* dobrą i szczerą radę. Nie zmieniajcie panowie nazwy swego pisma! *Bunt Młodych*, mimo całej pretensjonalności tej nazwy, usprawiedliwia i rozbraja. *Polityka* — to już do czegoś obowiązuje. A w waszym wypadku będzie to zbyt jaskrawo lucus a non lucendo.

FATALNY EGZAMIN.

Śnieżyce w naszym klimacie są zjawiskiem *normalnem*. Koszty, związane z usuwaniem ich skutków, są przewidziane w budżetach przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Przepisy określają dokładnie sposób postępowania. Materjału ludzkiego jest, jak wiadomo, poddostatkiem — bezrobotni czekają zwałów śnieżnych, jak zbawienia. Szybkie zatem opanowanie żywiołu jest probierzem organizacji. Inicjatywa, sprawność, przezorność mają pole do popisu. Jest to poprostu — na małą skalę — próba obronności kraju.

Jakże wytrzymały tę próbę nasze urządzenia komunikacyjne?

Czytamy „niewinny" komunikat w *Robotniku:*

> „Polskie koleje państwowe podają do wiadomości, że wskutek zawiei śnieżnej, przy znacznem obniżeniu temperatury do — 16 st. powstały trudności ruchowe, a mianowicie: pociągi podmiejskie przychodzą z opóźnieniem do dwóch godzin, pociągi dalekobieżne również są znacznie spóźnione, zwłaszcza przychodzące ze strony Radomia, Krakowa i Katowic... W węźle warszawskim śnieżyca utrudniła pracę zwrotnic elektrycznie nastawianych, dla których oczyszczenia zatrudniono ponad 100 ludzi".

Rzeczywistość opisuje nieco inaczej *Goniec Warszawski:*

> „Na dworcu głównym panował nieopisany chaos. Sala była przepełniona tłumami podróżnych, wśród których uwijały się grupki ubranych po narciarsku sportowców. Wszyscy głośno zapytywali o godziny odejścia lub przyjścia pociągów, lecz niestety informacyj nikt nie otrzymywał. Dyżurny urzędnik sam nie orejentował się w wytworzonej sytuacji. Wśród publiczności zaczęły krążyć rozmaite uszczypliwe uwagi.
>
> Spis opóźnień przybywających do Warszawy pociągów przedstawia się fatalnie. Kolejne pociągi z kierunku Dęblina nadeszły z opóźnieniami: 280, 150, 240, 186 minut. Z Krakowa 160, 185, i 200 minut. Z innych kierunków „punktualność" jest nieco mniejsza, ale również waha się w granicach od 50 do 120 minut opóźnienia.
>
> Szczególnie fatalnie przedstawia się komunikacja podmiejska. Tak np. o godzinie 10 rano miał przybyć pociąg z Pruszkowa. Pomimo króciutkiej trasy przybył z opóźnieniem... czterogodzinnem".

Pod tytułem: „Wojna może odbywać się tylko w lecie" pisze *Dziennik Popularny:*

> „Na dworcu Głównym zaprowadzono zwrotnice elektryczne. Bardzo dobrze funkcjonują one w lecie, natomiast w czacie ostatnich mrozów i zamieci śnieżnych odmówiły posłuszeństwa.
>
> Mrozy mrozami, ale co byłoby, gdyby wybuchła wojna?"

Jak na reżim wojskowy w kolejnictwie, są to obrazki znamienne i proszące się o wyprowadzenie wniosków, których pan pułkownik en Mef nie dostrzega.

JESZCZE KOCJADA.

Przewlekająca się w nieskończoność sprawa zorganizowania nowego ośrodka politycznego przez pułk. Koca od czasu do czasu pojawia się na szpaltach prasy. Ostatnio znowu szereg pism zajmuje się tą kwestją. Pisze *Codzienna Gazeta Handlowa:*

> „W ubiegły czwartek odbyła się konferecja na Zamku, podczas której p. premjer i vicepremjer referowali p. Prezydentowi w obecności marsz. Rydza-Śmigłego przebieg obecnych debat w ciałach ustawodawczych. W pewnych kołach usiłowano łączyć tę konferencję z blizkiem rzekomo ogłoszeniem deklaracji nowego obozu, tymczasem jednak ujawniło się, że w kulisach senackich wykluł się znienacka pewien konflikt „zasadniczy" na tle pojmowania przez pewną grupę polityczną senatorów programu inwestycyj i całego ich planu w koncepcji rządu, skoro na prywatnych konwentyklach pewnej grupy określano taktyczne postawienie problemu inwestycyj w ciałach ustawodawczych aż jako naruszenie... konstytucji".

Nieco tajemniczą tę wiadomość wyjaśnia *Depesza:*

> „Na herbatce u marsz. Prystora niektórzy senatorowie uważali, że projekt ustawy inwestycyjnej jest niezgodny z konstytucją, bo ma charakter budżetowy... Najwięcej wątpliwości przeciwko ustawie wysuwał b. premjer Kozłowski. Senatorowie, głównie z grupy pułkownikowskiej, podobno powzięli zamiar projekt ustawy odrzucić i wyciągnąć z faktu wniesienia jej do sejmu poza preliminarzem odpowiednie konsekwencje, bardzo nieprzyjemne dla rządu.

Podając „wyjaśnienie" jednego z uczestników owej herbatki, konkluduje „Depesza":

> „Czyżby komuś zależało na dalszem mąceniu naszych i tak już bardzo rozproszkowanych stosunków?... Trzebaby raz nareszcie z metodą tego mącenia i intryg skończyć i przejść do stosunków normalnych a zwłaszcza do prawidłowego parlamentu, bo obecne metody pracy biurokracji przeszły najgorsze zwyczaje t. zw. partyjnictwa".

Krakowski *Nowy Ustrój*, nawiązując do artykułu w „Odnowie" p. t. „Porozumienie", stwierdza:

> „Rozwiązanie B.B.W.R. potraktowało społeczeństwo z uczuciem pewnej ulgi, jak ustanie męczącej czkawki u chorego, ale ze świadomością, że sama choroba pozostała nienaruszona. Plany utworzenia nowego stronnictwa sanacyjnego, lansowane w tajemniczych pogłoskach, przyjęto ironicznie i wrogo".

Z wyjątkiem niektórych organów prasy rządowej. A przedewszystkiem z wyjątkiem *Expresu Porannego*, który nas wtajemnicza takiemi banałami:

> „Nie może to być partja, ale organizacja, zdolna do działania, do twórczych i pozytywnych wysiłków, które szeregować będzie *ludzi, „mających poczucie siły"*, nie według różnic, jakie ich dzielą, ael według zdolności do wspólnego, karnego wysiłku dla podnienienia potęgi Polski, dla podciągnięcia Polski wzwyż".

Przytaczając ustęp powyższy, pisze *Głos Narodu:*

> „Nie dużośmy się z tego dowiedzieli. W każdym razie przynajmniej to, że nowa organizacja chce być grupą ludzi, „mających poczucie siły". Przypuszczamy, że — siły moralnej, bo chyba nie fizycznej".

I podaje interesujący szczegół:

> „Podobno, podobno — Express Poranny" będzie organem nowej organizacji, tworzonej przez pułk. Koca. W każdym razie on tylko z całej prasy rządowej zajmuje się dziś tą sprawą".

Duży artykuł poświęca sytuacji wewnętrznopolitycznej *Polonia*, zamykając dłuższe wywody następującą konkluzją:

„Znajdą się zatem w nowym obozie prawie wszyscy starzy znajomi. Formy organizacyjne niewątpliwie będą inne, niż dawnego B. B. W. R., Skończy się też właściwie na rodzaju maskarady, na przebraniu w inne szatki.

Z chwilą powstania nowego obozu jeden będzie objaw dodatni: sytuacja, celowo zaciemniana, wreszcie się wyjaśni. Znikną niewiadome, które wielu bałamuciły i nęciły. Jest to objaw zresztą znany, że ludzie słabi lubują się we wszelkiej tajemniczości i mgławicowych określaniach".

Góra stęka, zrodzi się śmieszna mysz — mówiono ongiś w starym, a mądrym, Rzymie...

A. W.

Z Prasy Zagranicznej

POLSKA A CZECHOSŁOWACJA.

Artykuł pod powyższym tytułem, zamieszczony w n-rze 5 „Odnowy", wywołał szereg rozważań w prasie zagranicznej, przedewszystkiem, oczywiście, w Czechosłowacji. Najobszerniejsze streszczenie podają *Narodni Listy*, oddając sumiennie nietylko słowa, ale i intencję artykułu, oświetlając je z czechosłowackiego punktu widzenia. Swoje interesujące wywody dziennik czeski kończy:

„Byłoby to bardzo zajmujące, gdyby z rządowych polskich kół powiedziano, co się sądzi o poglądach, wyłożonych w artykule „Odnowy". Wszak teraz, kiedy Polska wysłała do Pragi swego nowego posła, będzie więcej sposobności do zetknięcia się polskiej polityki zagranicznej z Czechosłowacją, które przy dobrej woli z obu stron mogłyby prowadzić do zbliżenia".

Notatka zaś „Odnowy" p. t. „Dziwna polityka" (nr. 6, „Kronika zagraniczna"), dotycząca publikacji posła czechosłowackiego w Bukareszcie, p. Seby, z przedmową ministra spraw zagranicznych Krofty, zwróciła w Pradze uwagę na szkodliwość propagandową tej książki. Pisze *Venkov:*

„Także w zakresie propagandy jest rzeczą konieczną utrzymanie pewnych granic. Powiedzmy otwarcie: w wypadku, gdyby ktoś o naszym rządzie podobnie napisał, taka książka uległaby konfiskacie".

Mocne to słowa, jeśli chodzi o pracę, wydaną pod auspicjami czynnego ministra spraw zagranicznych. Niemniej ujemnie wyraża się o enuncjacjach p. Seby praski dziennik niemiecki *Die Zeit:*

„Poseł czechosłowacki w Bukareszcie daje przez to zagranicy sposobność do ataków. Stara się z jednej strony podkreślić wszystkie elementy, które łączą Małą Ententę i Sowiety, z drugiej jednak strony sieje nieufność, przedewszystkiem między Polską a Rumunją, Polską a Niemcami oraz Niemcami i Małą Ententą. To niewątpliwie rozszerza niekorzystne skutki ukazania się tej książki i uzasadnia odrzucającą ją krytykę, która przychodzi zwłaszcza z Włoch, Węgier, Niemiec i Polski".

Nie pozostaliśmy oczywiście dłużni... w nietakcie. Sięgamy tym razem do źródeł krajowych i podajemy fakty za katowicką *Polonią:*

„Nowy poseł polski p. Papée przy składaniu listów uwierzytelniających wygłosił przemówienie, które miało szeroki odgłos w całej opinji publicznej czechosłowackiej i przyjęte zostało z wielkiem zadowoleniem, a niezawodnie takie samo echo miałoby w opinji polskiej, gdyby je znała. Ale P. A. T. nie uważała za stosowne podać choćby w streszczeniu przemówienia naszego nowego posła i odpowiedzi czechosłowackiego prezydenta państwa.

Powstaje pytanie, czy kierownictwo P. A. T. na własną rękę robi te kawały — bo inaczej tego nazwać nie można — czy ono ma swoją własną politykę czechosłowacką, odchylającą się od polityki ministerstwa spraw zagranicznych? Albowiem przeciętny człowiek musi uważać, że wyrazem polityki M. S. Z. jest przemówienie p. Papéego. Nie możemy przecież przypuścić, że nasze ministerstwo ma dwie polityki zagraniczne, jedną na eksport, a drugą dla wewnętrzno-krajowego użytku".

Nie dosyć na tem:

„W tej samej chwili, kiedy p. Papée na Hradczynie wygłaszał swoje przemówienie, warszawska stacja radjowa nadawała długi referat na temat wojny czechosłowacko - polskiej o Śląsk Cieszyński. Ale wiadomo, że nasze radjo, szczególnie od czasu, gdy zostało zetatyzowane, nie odznacza się ani taktem, ani inteligencją".

Ostatecznie wychodzi na to, że po szeregu miesięcy „bezkrólewia" wysyła się do Pragi posła, i pierwszy jego krok się dezawuuje. Po cóż go więc było wysyłać? Tembardziej, że karta jego pobytu w Gdańsku jako komisarza generalnego z pewnością nie należy do najlepiej zapisanych. Czyżby w całej tej sprawie odgrywał jakąś rolę fakt, że p. Papée jest ożeniony z p. Dobrzańską?...

PEWNE ANALOGJE.

Bukareszteński *Viitorul* podaje z Zagrzebia:

„August Kosutić, zięć Radić'a, twórcy chorwackiego stronnictwa chłopskiego, powrócił świeżo do Zagrzebia po siedmioletnim pobycie na emigracji. Jest to nowy objaw osłabienia wewnętrznych sporów i dążenia do uregulowania kwestji chorwackiej w Jugosławji. Poprzednio powrócił już syn Radić'a."

Widocznie w Jugosławji znaleziono modus vivendi w polityce wewnętrznej.

MOWA HITLERA.

Wyjątkowo pozbawione niespodzianek przemówienie Hitlera nie wywołało w prasie gwałtowniejszych ataków. Naogół jednak w poświęconych mowie artykułach dźwięczy silniej lub słabiej ton nieufności, pomimo wybitnie pokojowego nastroju przemówienia. Pisze *Le Petit Parisien:*

„W exposé Hitlera nie słychać nuty groźby. Ale nie widać też żadnej konstrukcji na przyszłość. Jeżeli nie zamyka żadnych drzwi, to żadnych też nie otwiera szeroko. W każdym razie na pierwszy rzut oka nie zawiera ona żadnej podstawy do nowych negocjacyj."

L'Intransigeant:

„Jasnem jest, że Hitler nie przyłoży ręki do ostatecznego uregulowania spraw europejskich. Nie głosi więc pokoju wiecznego ani trwałego, ale zdaje się odkładać przyszłą wojnę. Zresztą nie można się było więcej spodziewać po człowieku, którego często ponosi temperament."

Podobnie *Le Populaire:*

„Deklaracja Führera odsuwa niebezpieczeństwo blizkiej wojny. Ale nie daje gwarancji ostatecznego zorganizowania pokoju."

Natomiast optymizmem tchnie *La République:*

„Bywają chwile w życiu narodów, że nowe powiewy torują nowe związki. Uważajmy! Być może, że wydzwoniła godzina wielkich inicjatyw. Dawno już o niej marzyła Europa."

Bardzo krytycznie ustosunkowuje się *Le Figaro:*

„Można powiedzieć, że ta mowa nie posunęła nas w niczem naprzód. Pomimo nawoływań panów Edena, Bluma i Neville Chambarlaina, Hitler nie skorzystał z doskonałej sposobności, by stanąć na platformie praktycznej, na której, przy pomocy dobrej woli, można było od jutra zacząć pracować nad tem rozsądnem porozumieniem, do którego cały świat wzdycha. Zapewnienia, jakie dał w sprawie dobrej woli co do współpracy Niemiec, są tak luźne, że dobrzeby było, przyjmując je zresztą za szczere, zażądać od niego ich sprecyzowania."

L'Indépendance Belge:

„O ile chodzi o kwestje gospodarcze, mowa kanclerza nie przynosi nic nowego. Niemcy obstają przy swoim planie czteroletnim, który jest tylko formą autarkji."

Z innego punktu widzenia rozważa mowę *Ceske Slovo:*

„Interesującem będzie zauważyć, że ani pułkownik Beck, minister spraw zagranicznych Polski, w swem niedawnem przemówieniu w sejmie, ani kanclerz Hitler w swej ostatniej mowie nie wspomnieli ani słowem o Czechosłowacji."

Owszem, dla nas jest to też interesujące.

Azet.

SPROSTOWANIE.

W artykule Adama Ordęgi „Kwestje podstawowe w organizacji szkolnictwa powszechnego" na str. 9. w. 11. zamiast „spada do 16% w roku 1933-34" ma być: „spada do 61% w roku 1933-34". Zdanie ostatnie od dołu na str. 9. zamiast: „jak w takich warunkach szkolnych spada wydajność pracy uczniów i jak rośnie wyczerpanie nauczycieli w stosunku do potrzeby lat najbliższych, oblicza autor na liczbę olbrzymią" winno być: „jak w takich warunkach szkolnych spada wydajność pracy uczniów i jak rośnie wyczerpanie nauczycieli, o tem chyba mówić nie trzeba. Niedobór nauczycieli w stosunku do potrzeb lat najbliższych oblicza autor na liczbę olbrzymią".

OD ADMINISTRACJI.

P. p. Prenumeratorów prosimy uprzejmie o wpłacanie prenumeraty na miesiąc luty 1937 r.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. **WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.**

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.